

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

W ROCZNICE.

W roku bieżącym obchodzą uroczyste dziesięciolecie swego niepodległego bytu wszystkie te państwa, które powstały na gruzach imperjum wszechrosyjskiego oraz monarchji Habsburskiej. Niektóre narody otrzymały wszystko, czego pragnęły w najśmielszych swych marzeniach, są zadowolone z losu i modlą się jedynie o to, by nie przyszła nowa jaka zawierucha, która może zmieść za jednym podmuchem wszystko, co w ciągu tych dziesięciu lat zostało z takim mozolem wzniesione i rozbudowane. Dla innych los był mniej łaskawy. Dał im niepodległość, lecz pozbawił możliwości normalnego rozwoju i nie zaspokoił podstawowych aspiracji narodowych. Wreszcie jeszcze inne zdobyły więcej, niż pierwotnie się spodziewały, lecz nie są tem bynajmniej uszczęśliwione, bo czują, że w tej pozycji długo utrzymać się nie zdołają. Mają dwie drogi do wyboru — iść dalej lub się cofnąć.

Do tych należy naród polski. Gdy wybuchła wojna i zarysowały się fundamenty, na których się wspierał w ciągu stu lat przeszło, układ sił w Europie Wschodniej, uniemożliwiający jęczącemu w potrójnem jarzmie narodowi odzyskanie wolności, w społeczeństwie polskiem obudziła się nadzieja lepszej przyszłości. Nie miano zrazu zbyt wielkiego zaufania do Nemezis dziejowej. Nie przypuszczano, by się mogły ziścić w całej pełni przekazywane z pokolenia w pokolenie ideały „od morza do morza”. Na ogół przeważał trzeźwy realizm. Większość olbrzymia wierzyła w zwycięstwo Rosji i pragnęła jedynie zjednoczenia rozdartych ziem pod berłem carów rosyjskich. Znaczna mniejszość ciążyła ku Austrii, byli nawet tacy, którzy snuli plany skromnego bytu państwowego w związku z Niemcami. Garść zaledwie zapaleńców — przeważnie młodzież i ko-

biety — wyznawała orientację niepodległościową, nie opartą na żadnych konkretnych przesłankach, lecz wyłącznie na uczuciu i wierze w triumf sprawiedliwości.

Jak to często bywa w życiu, powodzenie osiągnęły nie wyrachowanie i przezorność, lecz zapał i ślepy hazard. Stało się to, czego nikt nie mógł przewidzieć. Mocarstwa centralne zostały rozgromione przez zwycięską koalicję, a najpotężniejszy z pozorów jej filar — Rosja runął wskutek lichego materiału i partackiej budowy. Polska znalazła się w warunkach wyjątkowych. Mając wolną rękę na zachodzie i swobodę ruchów na wschodzie szybko i bez wielkiego wysiłku zjednoczyła trzy zabory, a skonsolidowawszy się jako tako na swem terytorjum przyrodzonym, zapragnęła restauracji swej dawnej potęgi i świetności, wskrzeszenia wielkiego mocarstwa z czasów Jagiellonów i Batorych.

Napotkawszy na opór osłabionej, lecz mimo to groźnej swą żywiołowością Rosji, widząc niechęć ze strony ludów, wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej do współzycia pod wspólnym dachem państwowym — Polska zmuszona była powstrzymać swój rozpęd i poprzestać na połowicznych zdobyczach. Nie osiągnęła granic historycznych, ale i nie zamknęła się w granicach etnograficznych. Nie zaspokoila swych aspiracji wielkomocarstwowych, lecz i nie zrezygnowała z zakusów imperjalistycznych. Nie przyłączyła całej Litwy, Białorusi i Ukrainy, ale zatrzymała przy sobie część ziem litewskich, białoruskich i ukraińskich. Nie zdobyła Kowna, Mińska i Kijowa, lecz nie wypuściła ze swego posiadania Wilna, Nowogródka i Lwowa. Powstało więc państwo zbyt różnolite, aby mogło utrzymać charakter państwa narodowego, a o zbyt nierównomiernym rozkładzie sił wewnętrznych, by mogło się przeobrazić w państwo narodowościowe, o typie federalistycznym. I w tem tkwi tragizm jego sytuacji wewnętrznej.

Ściśle zaś z nią jest związana sytuacja zewnętrzna. Sztuczność granic państwa polskiego na wschodzie, przecinających zarówno teren historyczny W. Ks. Litewskiego, jak kompleksy etnograficzne litewski, białoruski i ukraiński, system korytarzowy od zachodu i wschodu, przepołowienie organicznej całości gospodarczej, którą stanowi Śląsk — wszystko to razem wytwarza chwiejność podstaw i wymaga ze strony kierowników państwa ciągłej czujności i bezustannych wysiłków, by utrzymać równowagę i zabezpieczyć gmach państwowy przed wstrząśnieniami. Najłżejsze bowiem uderzenie z jakiegokolwiek strony może z łatwością wywołać ogólną katastrofę wskutek wadliwej jego konstrukcji.

Ten stan rzeczy oczywiście nie może trwać długo. Zmiana koniunktur międzynarodowych, nabrzmiewanie bolączek wewnętrznych, których groźnemi symptomatami są proces białoruskiej Hramady i krwawe demonstracje lwowskie, zmuszą w niedalekiej przyszłości politykę polską do wybrania jednej z dwóch dróg, o których wyżej wspomnieliśmy: albo zrezygnowania z ekspansji mocarstwowej albo jej rozszerzenia i wzmocnienia. A że każdy żywy organizm instynktownie dąży do rozrostu, a nie do kurczenia się, więc i przed narodem polskim otwierają się perspektywy nowych walk i ofiar, których rezultatem mogą być zwycięstwa i nowe zdobycze, ale również przegrana i straty, a nawet klęska.

To też na obliczach polityków odpowiedzialnych, ludzi rozważnych i głębiej patrzących, mimo zewnętrznego spokoju i pewności siebie, w chwilach samotności osiada zaduma i troska. Pierwsze dziesięciolecie przyniosło nadspodziewane powodzenie i triumfy, ale co gotuje przyszłość, jak wypadnie drugie dziesięciolecie?

Oczywiście tłumom, szerokim warstwom społeczeństwa obce są tego rodzaju obawy i wątpliwości. Masy są jak dzieci: cieszą się tem, co jest i nie myślą o jutrze. Koła kierownicze nie wyprowadzają ich z błędu i utrzymują je w stanie błogiej nieświadomości. Uroczyste obchody, parady, zabawy mają uświetnić dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. W niezliczonych mowach i artykułach nie zadźwięczy żadna nuta zwątpienia, nie rozlegnie się ani jeden głos ostrzegawczy, by nie mącić ogólnej radości, ogólnego upojenia i wesela. Ale czy nie większą przysługę swemu narodowi okazują ci, co nawołują do zastanowienia się i trzeźwości, niż ci, co go ustawicznie podniecają i zapewniają, że żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi?

Cytowany niejednokrotnie przez nas *Consulibus* pisze we wstępie do swej niepowszedniej książki: „Właściwie my wiemy, że gromadzą się dokoła nas znów groźne pikiety, że murów granicznych nie mamy zbyt mocnych, by ewentualny nacisk odeprzeć, że żyjemy na drodze wielkich antagonizmów światowych. Ale świadomość ta ślizga się po powierzchni jeno, nie przejmuje nas do głębi, nie wy-

wołuje, jako reakcji, intensywnej w polityce międzynarodowej aktywności. Wbrew tej świadomości kieruje postępowaniem naszym właśnie jakieś przeświadczenie bezwiedne, pomimo wszystkich utyskiwań na usterki sytuacji politycznej, — że w istocie zdobycie niepodległości i zjednoczenia jest spełnieniem marzeń naszych, a więc *końcem polityki*. Wystarczy na pierwszy rzut oka najwyżej odpędzać, jak muchy dokuczliwe, zamachy na nasz stan posiadania, w miarę konieczności bezpośrednich, z dnia na dzień, od wypadku do wypadku... A przecież odnawiająca się w tem metoda postępowania naszego zawiodła nas w wieku XVIII fatalnie, i opłaciliśmy ją chyba taką ofiarą, że zapomnieć o niej czas raz nazawsze”...

Warto przypomnieć te rozważne słowa w chwili, gdy dokoła będą się rozlegały jedynie wiwaty i okrzyki triumfalne.

Rokowania w Królewcu, jak było do przewidzenia, nie dały żadnych pozytywnych wyników, pominąwszy drobną sprawę podpisania konwencji o małym ruchu sąsiedzkim.

Obie strony zrzucają z siebie odpowiedzialność za nieodjście do skutku porozumienia. Mają poniekąd słuszość, ponieważ powody zatargu tkwią zbyt głęboko, by mogła je usunąć najlepsza nawet woła polityków i dyplomatów.

Liga Narodów będzie musiała albo umyć całkiem ręce w tej trudnej sprawie, albo też poddać rewizji swą ostatnią uchwałę, zalecającą obu stronom omijanie spornych kwestyj, a właściwie jednej zasadniczej kwestji wileńskiej. O jej stanowisku dowiemy się już niezadługo.

Właściwa droga.

Od chwili, gdy dr. Jan Stankiewicz przeszedł do Sejmu z własnej listy w pow. Lidzkim, zawdzięczając w znacznej części tej okoliczności, że inne listy białoruskie w tym okręgu zostały unieważnione, rozpoczęła się przeciwko niemu systematyczna naganka w całej prasie białoruskiej. I organ „pracowniczych huszcz”, zmieniający wskutek represyj prasowych niemal codziennie swój tytuł, i „Sialanskaja Niwa”, i „Biel. Krynica” poświęcają całe szpalty, ba nawet całe numery osobie „spadara”, które to ironiczne miano przyłgnęło do dr. Stankiewicza, dzięki pewnym jego nowatorstwom lingwistycznym. Odnosi się wrażenie, że działalność tego „zdradnika” jest w obecnej chwili największą klęską dla sprawy białoruskiej, że gdyby go nie stało, nicby nie zagrażało interesom narodowym białoruskim. Smieszne to zaciętrzewienie świadczy jedynie o upadku twórczej pracy w społeczeństwie białoruskiem, o braku wśród niego zainteresowań i poczynań głębszych i donioślejszych.

Nie wchodzimy tu w ocenę merytoryczną zarzutów, wysuwanych przeciwko ugodowej taktyce dr. Stankiewicza. Być może istotnie linja polityczna, jaką sobie wytknął ten wybitny, bądź co bądź, działacz jest błędna, a nawet szkodliwa z punktu widzenia ideologii narodowej białoruskiej, chociaż jest w tych twierdzeniach niewątpliwie dużo przesady. Nie wynika jednak z tego, aby całą energję zużytkowywać

należało w kierunku zwalczania jednej z wielu orjentacji politycznych, gdy najważniejsze pole pracy narodowej, pracy organicznej u podstaw, pracy nad uświadamianiem ciemnych i biernych mas ludowych leży odłogiem. Co tu się kłócić o fasadę domu, gdy jeszcze fundamenty nie założone!

Od kilku już lat obserwujemy ten smutny widok zjadania się wzajemnego nielicznych sił inteligentnych białoruskich i nie widać żadnej poprawy. Zmieniają się osoby, na arenę występują coraz to nowi zapaśnicy, ale walka zajadła, nie przebiegająca w środkach nie ustaje i zatacza coraz szersze kręgi, wciągając nawet młodzież gimnazjalną.

Gdy niedawno dr. Stankiewicz wystąpił z odczytem naukowym w sali wileńskiego gimnazjum białoruskiego, część rozagitowanych uczniów urządziła mu wrogą demonstrację, która doprowadziła do scen gorszących i o mało nie skończyła się tragicznie dla kilku jej uczestników, wydalonych z gimnazjum przez radę pedagogiczną i przyjętych z powrotem jedynie w celu załagodzenia konfliktu.

Starsze zaś pokolenie, zamiast zgromić niesforną młodzież i przywołać ją do porządku, zajęło stanowisko względem tych wybryków przychylnie i usprawiedliwiają je. Oto do jakich rezultatów optakanych mogą doprowadzić rozjątrzenie partyjne i porachunki osobiste!

Ten niewesoły stan rzeczy trwać zapewne będzie dopóty, dopóki kadrów inteligencji białoruskiej nie zapełnią nowe siły, które dziś się przygotowują do roli czynnej, a które rokują jaknajlepsze nadzieje. Mamy na myśli młodzież akademicką, studującą po rozmaitych wyższych uczelniach zagranicznych, ale również stanowiącą coraz liczniejszy zastęp na uniwersytecie wileńskim. Młodzież ta zorganizowana w ogólnostudenckim związku zapatruje się na swe zadania, jako przyszłych obywateli kraju poważnie i głęboko i zdaje sobie sprawę z doniosłej roli, jaką przeznaczonem jej jest odegrać w rozpoczynającej się dopiero na serjo pracy odrodzeniowej.

W ostatnim numerze organu tego związku „Studenska Dumka”, A. Kauzan, autor artykułu wstępnego pisząc o stanowisku młodzieży akademickiej wobec ideału niepodległości Białorusi wypowiada następujące, głęboko widać przemyślane słowa: „Mamy już dosyć w naszym narodzie energii eksplozywnej, ale brak nam energii konstrukcyjnej. A do tego jest powołana przeważnie młodzież uniwersytecka. Jeżeli ogłoszona przed 10 laty niepodległość nie została zrealizowana, to stało się dlatego, że nie znalazła się dostateczna ilość ludzi, którzyby mogli gmach państwowy podtrzymać”.

Wyliczając zaś najpilniejsze zadania, oczekujące młodzież uniwersytecką, autor wymienia przede wszystkim konieczność podniesienia poziomu życia kulturalno-narodowego we wszelkich jego przejawach. „Gdzie u nas dziś — pisze słusznie — poczucie szacunku wobec autorytetu, wobec zasług, wobec prawa? Gdzie uszanowanie wobec starszych, jeżeli los komuś pozwolił się od nich uniezależnić? Gdzie u nas kwitnie cudny kwiat wdzięczności? Słowem — gdzie u nas to wszystko, co się nazywa kulturą duchową? Potrzeba nam tego wszystkiego w wysokim stopniu, aby przekonać zarówno własne szerokie masy ludowe, jak opinię międzynarodową, że pojęcia „białoruszczyzny” i „chamstwa” dawno już przestały być synonimami, jeżeli takimi kiedykolwiek były”...

Brawo! Zrozumienie powyższych braków i po-

trzeb jest już wielkim krokiem naprzód. Dopóki się nie wytworzy warstwa inteligencji białoruskiej, prześląkniętej prawdziwą kulturą europejską, dopóty ruch narodowy białoruski będzie lekceważony i traktowany jako sztuczny wytwór agitacji wywrotowej. Wśród starszego pokolenia można wymienić zaledwie kilka jednostek, które posiadają tę niezbędną ogładę kulturalną. Większość działaczy białoruskich wyrosła w atmosferze radykalizmu społecznego o specyficznym zabarwieniu rosyjskim i szczyli się swem powinowactwem duchowem ze Wschodem, — swym bolszewizmem, jeżeli nie społecznym i politycznym, to duchowym. Stosunek do zajęć w gimnazjum białoruskim jest tego wymownym przykładem.

Europeizacja ruchu narodowego — oto jedno z najważniejszych zadań, oczekujących młodą inteligencję białoruską i jest to bardzo pocieszający objaw, że młodzież je rozumie i pragnie mu podołać.

Z. Małyńcz.

Bibliografia a polityka.

Artykuł mój p. t. „Cyfry i wnioski” w Nrze 15 „Przeгляdu Wileńskiego”, omawiający dwie prace bibliograficzne dr. Rygła i dr. Łysakowskiego, zamieszczone w ostatnim zeszycie „Zródła Mocy”, wywołał obszerną replikę ze strony dr. A. Łysakowskiego na szpaltach „Dziennika Wil.”.

Replika ta jest dość dziwnego rodzaju, w znacznej bowiem części polemizuje z urojonemi memi twierdzeniami, do których jednakże w żadnym razie przyznać się nie mogę. W swej krytyce zarzuciłem obu wspomnianym bibliografom brak uzgodnienia stosowanych przez nich metod statystycznych. Bo gdy p. Łysakowski jako podstawową cechę druku obrał jego język, p. Rygiel przeciwnie utrzymuje, że przy klasyfikacji czasopism opierać się należy nie na ich języku, lecz na „narodowej sferze ich pochodzenia”. Zaznaczyłem przytem, że każda z tych metod ma swoje dobre i złe strony. Metoda dra Łysakowskiego ma tę zaletę, że wyklucza czynnik subiektywny, natomiast jest zawodną, o ile chodzi o wnioski natury politycznej. Zakwestionowałem też nie wartość obliczeń statystycznych dr. Łysakowskiego, lecz jedynie słuszność jego twierdzenia, że „o przynależności danych ziem stanowią efekty produkcyjnej pracy, a nie ilość zamieszkujących je konsumentów”.

Tymczasem dr. Łysakowski z wyraźną irytacją atakuje nie dr. Rygła, który zastosował ową drugą metodę subiektywną, uzasadniając jej racjonalność, lecz mnie, tak jakbym ja był jej bezwzględny zwolennikiem a nawet bodaj twórcą. P. Łysakowski wyłamuje więc drzwi otwarte, gdy wymownie wywodzi, że „narodowa sfera pochodzenia” jest wyrażeniem mętne i wieloznaczne. „Bo cóż ono znaczy?” — zapytuje p. Łysakowski. „Czy narodowość autora? czy nakładcy? czy instytucji wydawniczej? a może nawet jakiejś innej osoby, która natchnęła autora do napisania, a instytucję do wydania pisma?” Wszystkim powyższymi wątpliwościami trudno odmówić słuszności, ale dlaczego dr. Łysakowski te pytania skierowuje pod moim adresem, e nie pod adresem dra Rygła, który przecież jest właściwym autorem owego mętnego określenia: „narodowa sfera pochodzenia”?

Osobiście jestem tego zdania, że bibliografia nie powinna się bawić w dociekania, do których nie jest powołana i powinna poprzestawać na suchej re-

jestracji obiektywnej druków według języka. Z tego też względu metoda dr. Łysakowskiego trafia mi zupełnie do przekonania i mój szanowny polemista zadaje sobie niepotrzebną fatygę, przekonywując mnie, że język jest „pojęciem zrozumiałym, jasnym i ustalonym”. Natomiast, gdy p. Łysakowski z bibliografa przedzierzga się w polityka i zaczyna z zebranych przez siebie cyfr wysnuwać daleko idące wnioski, zaczynam powątpiewać, czy istotnie jest język pojęciem jasnym i ustalonym. Dla mnie np. język to jest tylko forma, za którą może się ukrywać treść taka lub inna, dla dr. Łysakowskiego zaś język jest ściśle związany z poczuciem narodowym. I na tym punkcie oczywiście zasadniczo się różnimy.

Dla bibliografa mogą a nawet powinny być obojętne tendencje danego utworu, pochodzenie i narodowość jego autora. Słusznie też Estreicher wciągał do swej bibliografii wszystkie druki w języku polskim, chociaż niesłusznie uwzględniał również druki w innych językach, zaliczając je do tej samej kategorii. Inna zaś rzecz, gdy chodzi o krytyczną analizę piśmiennictwa. Nie jest to już zadaniem bibliografa, lecz historyka literatury, publicysty i polityka. Dr. Łysakowski chce być jednym i drugim. Bardzo pięknie, byle nie jednocześnie, lecz kolejno.

Gdy więc dr. Łysakowski, jako bibliograf stwierdza, że w I półroczu 1928 r. na 308 druków ukazało się w Wilnie w języku polskim 211 czyli 68,5%, nie mam tu nic do nadmienia. I gdyby statystyk poprzestał na wyciągnięciu z tych danych wniosku, że produkcja wydawnicza wileńska w języku polskim jest obecnie dwa razy większa, niż we wszystkich innych językach razem wziętych — również zgodziłbym się z tem bez zastrzeżeń. Więcej nawet. Można śmiało utrzymywać, że w obecnych warunkach politycznych, gdy język polski jest językiem państwowym, rozpowszechnienie jego znacznie się u nas wzmogło w porównaniu np. z czasami przedwojennymi i tę różnicę możnaby nawet określić cyfrowo, sięgnawszy do dawnych wykazów bibliograficznych. Ale i tylko tyle. Bynajmniej jednak cyfry te nie upoważniają ani do twierdzenia o „mocy polskiej większości narodowej” w naszym kraju, ani tembardziej do jakichkolwiek wniosków — o jego przynależności państwowej.

Ta ostatnia teza zwłaszcza razi swą dowolnością, bo wychodząc z tych samych założeń należałoby zakwestjonować prawa do samodzielnego istnienia Belgji, gdzie w piśmiennictwie przeważa język francuski, Austriji, gdzie panuje wyłącznie język niemiecki, Irlandji, gdzie język angielski jest językiem większości inteligencji i t. p. Topy już nas za daleko doprowadziło. Ograniczmy tedy lepiej dyskusję do tematu, czy istotnie, jak utrzymuje p. Łysakowski, język polski, który zajmuje tak dominujące stanowisko w produkcji wydawniczej wileńskiej, może być uważany jako niezawodne kryterjum takiejże przewagi kultury *narodowej* (nie językowej!) polskiej u nas?

W tem miejscu zapewne p. Łysakowski wzruszy ramionami, nie uznając tak subtelnego rozróżnienia tych dwóch pojęć, ale muszę z całym naciskiem podkreślić, że jednakże takie rozróżnienie znajduje częste zastosowanie i że bynajmniej nie jest ono moim wynalazkiem... Właśnie na łamach „Dziennika Wil.”, którego zwolennikiem i sympatykiem zdaje się być dr. Łysakowski, nie tak dawno, z okazji przyznania nagrody literackiej m. Łodzi poecie Tuwimowi, nie pamiętam już kto (zdaje się p. St. Cywiński) dowodził z całym przekonaniem, że język nie stanowi o narodowości, że chociaż Tuwim

pisze po polsku, ale jego poezja jest przesiąknięta duchem czysto żydowskim i nie może być zaliczana do literatury polskiej... Tembardziej taki dziennik, wydawany w języku polskim, jak „Nasz Przegląd”, poświęcony specjalnie obronie interesów narodowych żydowskich nie może być uważany na organ prasowy polski. Innymi słowy język a narodowość są to dwie odrębne rzeczy. I ta prawda na naszym gruncie znajduje wybitne zastosowanie.

Dr. Łysakowski gotów jest poczynić pewne koncesje na rzecz powyższej zasady. Analizuje więc szczegółowo zgromadzone przez siebie dane, dodaje, odejmuje, przedstawia rozmaite pozycje i w końcu dochodzi do wniosku, że uwzględniając nawet poprawki według „narodowej sfery pochodzenia” polskość traci zaledwie 2 pozycje, czyli niecały 1 proc. Ale teraz ja zapytam dr. Łysakowskiego, na jakiej zasadzie przeprowadzał swe korektywy, skoro sam przyznał, że „narodowa sfera pochodzenia” jest pojęciem mętłem i wielostronnem i ustalenie tego pochodzenia może być chwiejne i najzupełniej subiektywne?

Nie poczuwam się do takiej kompetencji, jak dr. Łysakowski i nie usiłuję nawet badać w każdym poszczególnym wypadku, czy dany druk nie powstał z obcego natchnienia i jaka jest jego geneza. Wiem tylko jedno, że językiem polskim, jako językiem państwowym, literacko najbardziej wyrobionym (obok rosyjskiego), panującym doniedawna niepodzielnie w Kościele posługują się u nas często rozmaite warstwy ludności miejscowej, nie posiadające żadnego poczucia narodowego polskiego, a nawet zaliczające siebie z całą świadomością do narodowości litewskiej, białoruskiej lub żydowskiej. Ten fakt wystarczy mi do zakwestjonowania politycznego głosu bibliografji, którego się w niej dopatruje dr. Łysakowski.

I ten cel tylko miała moja poprzednia krytyka.

Karol Waga.

Z mego notatnika.

Po zjeździe literatów.

Weszło już w modę urządzać wszelkie zjazdy zawodowe, kulturalne i naukowe o charakterze wszechpolskim — w Wilnie. Nawet zjazd cukrowników odbył się w grodzie Gedyminowym, chociaż na całe przestrzeni b. W. Ks. Litewskiego niema bodaj ani jednej cukrowni i ani jednej plantacji buraków. Cukrownicy jednak mieli na swe usprawiedliwienie ten ważny wzgląd, że otrzymywali wysokie diety, w zrozumiałym więc interesie ich leżało organizować zjazd jaknajdalej od ośrodków przemysłu cukrowniczego. Ale dlaczego literaci polscy, którzy nie mogli rachować przecież na zwrot kosztów podróży w tej samej skali, co dyrektorowie i przedstawiciele syndykatów, wybrali również Wilno na miejsce swych obrad zawodowych — to już trudniej zrozumieć. Chybaż nie dlatego, że Wilno dziś nie może się poszczycić rodzimą twórczością literacką i żeby w braku własnych literatów mogło nacieszyć się widokiem przyjezdnych luminarzy? A może w tym celu, by nawiązać kontakt z przedstawicielami piśmiennictwa białoruskiego i litewskiego, z którymi trudno gdzieindziej się zetknąć?

Niestety, ani prasa białoruska, ani litewska, ani żydowska nawet nie otrzymała zaproszenia na zjazd, o czym świadczy dowodnie list otwarty dra Maksa Weinreicha, prezesa syndykatu dziennikarzy żydowskich w Wilnie do prezydenta miasta w odpowiedzi na otrzymane przezeń zaproszenie na raut z okazji zjazdu literatów polskich. Dr. Weinreich nie uważał za stosowne skorzystać z tego zaproszenia wobec faktu, że organizatorzy zjazdu nie zaprosili na jego otwarcie nikogo z przedstawicieli prasy i literatury żydowskiej.

Może to będzie pewną satysfakcją dla pominiętych literatów wileńskich innych narodowości, że został zlekceważony przez zjazd również szereg ludzi miejscowych, piszących w języku polskim, w tej liczbie niżej podpisany, dalej p. Nemezjusz Ogórkiewicz, głośny esteta, wreszcie, Korneljust Jerzy Augustyn, cichy, lecz niepospolity znawca literatury, któremu zawdzięcza p. Agnieszka Kiejdziówna najlepsze swe utwory poetyckie, jeszcze nie drukowane na łamach „Przeglądu Wil.”. Pewnie takich było więcej.

Zjazd odbył się więc w ściśle dobranym kółku, złożonym prócz przyjezdnych gości, z miejscowych archeologów, działaczek oświatowych i profesorów, bo przecież musiał ktoś reprezentować elitę umysłową polskiego Wilna. Boy niestety nie przyjechał, a szkoda wielka — miałyby szerokie pole do popisu.

Zamiast świetnego fejletonisty i satyryka wrażeniami z pobytu w naszym mieście podzielił się z czytelnikami „Kurjera Wileńskiego” p. Zygmunt Kisielewski, który oszołomił nas szeregiem odkryć, a mianowicie, że Wilno przyciągnęło Ślendrańskiego (tak, jakby się on urodził i wychował co najmniej na Śląsku Cieszyńskim!), że niema u nas tramwajów, ponieważ Rada Miejska sprzeciwiła się ich budowie jako że są szpetne, hałaśliwe i banalne (dosłownie!), że w Wilnie wszyscy, którzy piszą, starzy i młodzi, wszelkich kierunków, są pogodzeni w miłości słowa i kunsztu pisarskiego (czego dowodem zapewne jest polemika z powodu wystawienia „Betelejek Ostrobramskich” Łopalewskiego), że o artystycznej naturze mieszkańców Wilna świadczą „i pogodny, słodki i żartobliwy uśmiech dziewcząt — i smutny spokój pań siwych, — i mądre spojrzenie kobiet dojrzałych, i surowa, lecz pełna dobroci twarz mężczyzn...” i t. d. Oto jak wyglądają w interpretacji ugrzeczniejszego warszawiaka nasze tylekroć wyśmiewane Józefuwoczki!

Sądząc z niezwykle podniosłego tonu, w jakim jest utrzymana końcowa uchwała zjazdu, dotycząca Wilna, można się spodziewać, że i wielu innych uczestników zjazdu odniosło takie same wrażenia ze swej wycieczki. Ale zaklinam Was, panowie literaci warszawscy, krakowscy, lwowscy, poznańscy, bydgoscy i katowicki, powstrzymajcie wylew swych uczuć na papierze! Nie ośmieszajcie siebie i nas! Bądźcie pewni, że w ciągu tych paru dni prawdziwego Wilna nie poznaliście i nawet z niem prawie się nie zetknęliście. To, co Wam pokazano — jest tylko oficjalną jego reprezentacją i to w znacznej części narzuconą mu lub zgoła samozwańczą. Prawdziwego oblicza Wilna nie poznacie na rautach i przyjęciach urzędowych. Na to trzeba trochę więcej czasu i... innych przewodników!

Zabawna drażliwość.

Po dłuższej przerwie zaczęło znów wychodzić w Wilnie pismo codzienne rosyjskie. D. 6 b. m. ukazał się pierwszy numer nowego dziennika p. t.

„Nasza Żiźń”, w którym redakcja ogłasza swój program, polegający na oświecaniu należytem i obronie interesów rosyjskich i Cerkwi prawosławnej w państwie polskim z wykluczeniem wszelkiego szowinizmu i fanatyzmu.

Być może istotnie pismo potrafi się ustrzec tych brzydkich wad, lecz zbyt duża jego drażliwość w pewnych kwestjach, nawet luźnie związanych z honorem narodowym rosyjskim źle wróży o podmiotowości redakcji.

Mamy już tego przedsmak w drugim z kolei numerze, gdzie niejaki „Nabludatiel” zaatakował „Przegląd Wileński” za jego notatkę o zamiarze przemianowania Baranowicz na Piłsudsk. Właściwie nie za treść notatki, której krytyk rosyjski nie ma nic do zarzucenia, lecz za jej tytuł: „Bizantynizm”. P. Nabludatiel uczuł się dotknięty tym terminem i z oburzeniem zapytuje, dlaczego dworactwo i serwilizm mają nosić miano bizantynizmu, a nie, dajmy na to, wersalskości, bo przecież przy dworze Ludwika XIV panowała monarchiczna idololatria większa, niż przy dworze Konstantego Monomacha.

Na to niestety, nic poradzić nie możemy. Utarło się w literaturze polskiej posługiwać terminem „bizantynizm” dla oznaczenia serwilizmu podanych wobec panującego, miana zaś „Wersalu” używać dla określenia kurtuazji i galanterji. Dlaczego tak się stało — na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Znanca dziejów języka polskiego może wyjaśniłby pochodzenie a nawet być może ustaliłby ścisłą datę, od kiedy wyrażenie „bizantynizm” zyskało sobie prawo obywatelstwa w mowie polskiej. Zapewne genезy jego trzeba szukać w utworach średniowiecznych pisarzy katolickich, którzy przeciwstawiali rozdział władzy świeckiej i kościelnej w Rzymie bizantyjskiemu absolutyzmowi, a może w rozprawach humanistów z czasów odrodzenia, którzy wpływem wschodnim przypisywali upadek kultury łacińskiej i tradycyji republikańskich Rzymu. A może jeszcze gdzieindziej? Czy ja wiem?

Dość, że z wyrażeniem „bizantynizmu” łączy się w języku polskim zawsze pojęcie o oddawaniu czci bałwochwalczej panującemu. Dosłowny przekład na język rosyjski tego terminu jest niemożliwy. „Wizantijstwo” nie posiada całkiem tego specyficznego znaczenia, co „bizantynizm” i czytelnik rosyjski, nie znający języka polskiego, po przeczytaniu krytyki p. Nabludatiela niewątpliwie nabierze niewysockiego mniemania o kwalifikacjach umysłowych redakcji „Przeg. Wil.”. Najciekawsze zaś w tem wszystkim jest pytanie, dlaczego organ rosyjski tak się obraził za aluzję do pojęć i zwyczajów bizantyjskich? Gdzie Rzym, gdzie Krym? A raczej gdzie Moskwa, a gdzie Konstantynopol?

Licz.

Modne hasło.

Z wielkim hałasem odbyło się święcenie tygodnia „propagandy samowystarczalności gospodarczej” — rozmaite stowarzyszenia i związki polskie wzięły w niem szumny udział; u nas w Wilnie odezwę, rozklejoną na rogach ulic, podpisały korporacje i związki młodzieży akademickiej.

Cały ten niewinny w gruncie rzeczy huczek pod hasłem popierania swojskiego przemysłu i handlu, subauspicjiis rządu i nadwornego augura finanso-

wego p. Dewey'a, jest bezsensowną imprezą, której rezultatem będzie tylko nabicie kieszeni rozmaitym przemysłowcom i kupcom, zupełnie w ten sam sposób jak to było z właścicielami hoteli, will i pensjonatów w uzdrowiskach, którzy w dobie 500 złotych paszportów, a nawet i teraz (przy 250 zł.) korzystając z uniedostępnienia zagranicznych miejsc kuracyjnych, wyśrubowali ceny do niemożliwych granic, zaniedbując jeszcze bardziej wszelkie prace inwestycyjne i udogodnienia.

W najlepszym razie ten sam wynik oczekuje bojkot towarów zagranicznych. Producenci podniosą cenę, nie dbając o jakość wyrobów, których wartość niewątpliwie się obniży, bo tak jest zawsze, gdzie niema sprężystej konkurencji.

Sądzę jednak, że do tego wogóle nie dojdzie, bo hasło samowystarczalności, nawet z większym zapalem proklamowane, odezwie się nader nikłym echem wśród polskiego społeczeństwa. Przedewszystkiem dlatego, że Polacy są narodem indywidualistów i nie znoszą, by kępowano zbyt swobodę jednostki. I to zupełnie słusznie! Już dosyć państwo ingeruje w prywatne stosunki, coż pozostanie, gdy i społeczeństwo zacznie się interesować, co kto wkłada sobie do ust? jaki trunek pije? jakim piórem pisze? z jakiego płótna jest uszyta kószula? etc. Ponadto większość naszych pań nawet z b. skromnych sfer, gdy idzie o rozmaite akcesoria garderoby lub kosmetyki nie będzie nic sobie robiła z patriotycznych nawoływań a będzie kupowała to, do czego się przyzwyczaiła latami. Przykładem może być proklamowany przed wojną w Królestwie, a szczególnie w Warszawie bojkot handlu żydowskiego. Pamiętam jak panie, które na wiecach gardłowały zapalczywie wrzeszcząc: „Swój do swego”, „precz z Żydami”, najspokojniej udawały się następnie po sprawunki na Nalewki. Na moje zdumione pytanie odpowiadały: bo taniej i lepszy towar, większy wybór! Kto zaś pamięta Warszawę wtedy, przyznać musi, że było znacznie więcej zapału w społeczeństwie w tym kierunku, niż teraz.

Wreszcie trzeba jasno powiedzieć, że przemysł i handel poszczególnych państw jest związany między sobą za pomocą rozmaitych międzynarodowych trustów, syndykatów, karteli etc., kapitał międzynarodowy *wszędzie*, a szczególnie do biedniejszych krajów przesiąka w części jawnie, a przeważnie nieuchwytnie; rozgraniczenie zatem przemysłu i handlu poszczególnych państw jest b. trudne, jeżeli nie niemożliwe; nie może być tedy mowy o jakimś *patryjotyzmie gospodarczym*, jak głosi szumna odezwa „Wileńskiej Ligi Samowystarczalności”; coż to za dziwaczne skojarzenie pojęć szczytnej miłości ojczyzny z czyjąś kieszenią, choćby narodu? Przemysł i handel są międzynarodowymi czynnikami, a zupełnie nie narodowymi, wszelkie bojkoty handlowe lub przemysłowe w XX w. muszą spalić na panewce, bo ekonomiczne węzły łączące poszczególne narody są zbyt ściśle, by mogły na długo być sztucznie zerwane; życie na to nigdy nie zezwoli. Pozorna emulacja na polu handlowym i przemysłowym jest tylko czasowa i musi się zakończyć szczególnie w Europie koordynacją i współpracą.

Ponadto nie trzeba zapominać, że w Polsce, ubogiej w kapitały, będące własnością rodowitych Polaków, przeważająca większość przemysłu i handlu znajduje się w rękach *obywateli polskich co prawda, lecz nie Polaków*, bo Żydów i Niemców, pozatem zaś znaczna część przemysłu Polski finansowana była

i jest przez Amerykanów, Francuzów i Belgów. Ze zdumieniem więc widzimy pod odezwą nawołującą do popierania wyrobów krajowych podpisy „Związku młodzieży wszechpolskiej” i innych organizacji, występujących zawsze z hasłami skrajnie nacjonalistycznymi i szowinistycznymi: „huzia na Żyda i Szwaba”. Podpisy ich to *contradictio in adjecto*; czy mamy je rozumieć jako zmianę wytycznej linii nacjonalistycznej na państwową, czy też może tylko jako obłudny gest, wynikający z zamiłowania do wszelkiej akcji pod hasłem wyłączności?

Naturalnie, pewna część społeczeństwa będzie twierdzić, że ten odruch jest konieczny i pożyteczny dla polskich robotników, (nie mówi się oczywiście o robotnikach innych narodowości), więc popieranie przemysłu, znajdującego się w rękach nie polskich zawsze zmniejszy bezrobocie i będzie pożyteczne. Równocześnie ci sami jednak panowie zapominają, że we francuskim, niemieckim i amerykańskim przemyśle pracują tysiączne rzesze robotników rdzennych Polaków, których zarobki w tym samym stopniu się obniżą...

Jednakże jestem przekonany, pomimo zapewnień nawet pewnych profesorów, że wszystko to się skończy na humbugu, słomianym ogniu i rozklejeniu odezw, tembardziej, że szerokie masy, szczególnie tu u nas mało są uświadomione, polski patriotyzm gospodarczy jest dla nich pustym dźwiękiem, z powodu panującej biedy i tak zbyt kochanych artykułów zagranicznych nie kupują, nieliczna zaś pieniądze elita będzie kupowała nie oglądając się na żadne zakazy moralne.

W końcu wreszcie chciałbym usłyszeć szczerą odpowiedź, czy „Liga Samowystarczalności” stoi na gruncie popierania *równouprawnienia przemysłu i handlu* wszystkich narodowości w granicach państwa polskiego, czy też *popierania wyłącznie przemysłu i handlu polskiego*, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Odpowiedź na to drażliwe pytanie, wyjaśni nam, co mamy rozumieć pod słowami „patriotyzm gospodarczy”.

E. Łopaciński

Piszą do nas.

I.

Po nitce do kłębka.

Z powodu wznowienia rokowań polsko-litewskich w Królewcu i artykułów, umieszczonych w tej sprawie w Nr. 18 „Przeglądu Wileńskiego”, proszę o zamieszczenie mego „głosu indywidualnego” jako pochodzącego od jednostki, dla której sprawy krajowe są sprawami pierwszorzędnej wagi.

Polsko-litewski spór o Wilno, w obecnym jego ujęciu jako sprawa, dotycząca interesów Warszawy i Kowna, moim zdaniem, nie może być rozstrzygnięty pozytywnie, ponieważ wszelkie jego rozstrzygnięcie w tej płaszczyźnie zawierać będzie w sobie sprzeczność.

Ta wewnętrzna sprzeczność pochodzi stąd, że interesy Warszawy i Kowna — wzajemnie się wykluczają.

W gruncie rzeczy bowiem i Warszawa i Kowno traktują Wilno, jak swoją prowincję; Warszawa — jako prowincję polską, Kowno — jako prowincję litewską. Pozatem granice tego sporu są sztucznie zwężone. Czyż można mówić o rozstrzygnięciu kwestji wileń-

skiej niezależnie od rozstrzygnięcia kwestji całego terytorjum W. Ks. Litewskiego?

To zaś pociąga za sobą jeszcze większe komplikacje. Przedewszystkiem chodzi tu o zakwestjonowanie traktatu Ryskiego. Czyż można mówić o terytorjum W. Ks. Litewskiego, pomijając sprawę podziału Białorusi?

Oto dokąd nas konsekwentnie prowadzi poruszenie, chociażby teoretyczne, kwestji Wilna. Pociągniesz za nitkę i cały kłębek się potoczy.

Bez rozstrzygnięcia sprawy terytorjum W. Ks. Litewskiego w całości nie może być załatwioną definitywnie kwestja wileńska. Do decydowania zaś o losach ziem litewsko-białoruskich w całości nie są powołane ani Warszawa, ani Kowno, ani Moskwa, ani Europa nawet, lecz przedewszystkiem ich ludność.

Rządowi litewskiemu w pierwszym rządzie należałoby wziąć na siebie inicjatywę postawienia tej sprawy w takiej właśnie płaszczyźnie, jeśli rzeczywistość chodzi mu o Wilno. Rząd litewski winien pamiętać, iż on, przedewszystkiem, ponosi odpowiedzialność za podział W. Ks. Litewskiego. Tego zarzutu nie można stawiać rządowi polskiemu, gdyż Polska jest wierna swej misji historycznej, swemu odwiecznemu dążeniu do rozbicia samodzielnego W. Ks. Litewskiego.

Jednakże dotychczasowe stanowisko rządu litewskiego nie daje żadnych podstaw do żywienia nadziei, iż ma on na celu urzeczywistnienie idei W. Ks. Litewskiego.

To też będzie ono zależało wyłącznie od rozwoju uświadomienia ludności naszego kraju. Obrady zaś w Królewcu nie posuną sprawy ani o jeden krok naprzód.

Józef Lipski.

II.

Piękne teorie i smutna rzeczywistość.

Tegoroczna klęska nieurodzaju szczególnie boleśnie dotknęła gminę Leonpolską pow. Brasławskiego. Grunty u nas są tego rodzaju, że się boją zarówno nadmiernych deszczów, jak suszy. Tymczasem wiosna w roku bieżącym była niezwykle mokra, zasiewy wcześniejsze wymokły i główny siew jaryz dokonywany został aż w lipcu. Lato znów wypadło chłodne i suche, które nie sprzyjało wegetacji. Rachowano przynajmniej na ciepłą i słoneczną jesień. Stało się jednak inaczej. Dn. 28 września uderzył mróz i w kilka godzin zniszczył wszystko. Przystąpiono do pośpiesznego sprzątnięcia plonów zmarzniętych. Płacono robotnikom po 5 zł. dziennie na gotowym wikcie, ale dzień krótki, wydajność pracy słaba, to też dużo zostało w polu i trafiło pod śnieg, który spadł dn. 17 października.

Jak zwykle, wobec braku gotówki, by opłacić robotników, gospodarze musieli sprzedać część zboża po 5—6 zł. za pud (najlepsza pszenica po 7 i pół) wiedząc dobrze, że to samo zboże na wiosnę, na przednówku u tych samych kupców wypadnie kupować po 12—15 zł. za pud, lub co gorzej brać na kredyt z potrójną opłatą (za 1 pud — 3 pudy) z nowego urodzaju. Na wszystkiemu, wobec braku taniego i dogodnego kredytu, rolnik nasz musi tracić. Jest on tym przysłowiowym Makarem, na którego *usię szyszki walucca*.

Nasze władze podatkowe też nie zapomniały ze swej strony rzucić nań dość ciężką szyszke, w postaci podatku dochodowego za rok 1927, płat-

nego w r. 1928. Ubiegłe lata 1925 i 1926, chociaż były nieurodzajne, ale nie w takiej mierze, jak rok 1927. Za tamte lata podatku dochodowego nie wymierzano wcale, lub w bardzo skromnej skali. Za rok 1927 natomiast wyznaczono dość spore kwoty, których rolnicy nie będą mogli uiścić, wskutek czego będą zmuszeni płacić kary, aż po 4 proc. miesięcznie. Cóż dziwnego, że miejscowi lichwiarze mają trochę większe apetyty i pobierają 6—7 proc. miesięcznie?

Ratowałby rolników tylko tani i szeroki kredyt, ale niestety miejscowa gminna kasa pożyczkowo-oszczędnościowa nie może dotąd otrzymać od Banku Rolnego nawet przyznanej prawem dotacji do swego kapitału zakładowego, a ta dotacja byłaby tylko kropelką w morzu potrzeb ludności.

O tej pomocy kredytowej ze strony państwa wciąż się mówi i pisze, a jak ona wygląda w praktyce, o tem może świadczyć fakt następujący. Wieś Zamosze, po długich (od r. 1921) staraniach nareszcie doczekała się w r. 1926 komasacji. W lutym 1927 r. mieszkańcy tej wsi zwrócili się do powiatowego Urzędu Ziemińskiego z prośbą o obiecaną pożyczkę na przeniesienie budynków i niezbędne meljoracje. Otrzymałszy w Urzędzie drukowany wzór podania gospodarze napisali je stosownie do wymagań, pobrali od wójta zaświadczenia, przyczem musieli opłacić po 2 zł. od każdego i złożyli je w Urzędzie Ziemińskim. Po upływie paru tygodni podania zostały zwrócone dla ponownego poświadczenia w gminie. I to żądanie zostało wykonane, upłynął jednakże cały rok, o pożyczkach zaś ani słuchu, ani ducha.

Wobec tego, że stosownie do umowy, zawartej podczas komasacji, każdy gospodarz winien przenieść swe budynki na nową parcelę w ciągu lat 1927—1929, w przeciwnym razie stają się one własnością posiadacza danej parceli, gospodarze się zaniepokoiili i rozpoczęli perjuryczną wędrówkę do Urzędu Powiatowego, odległego o 80 klm., dowiadując się o losy pożyczki. Za każdym razem pocieszano petentów, że pożyczka będzie udzielona w następnym miesiącu. Niektórzy, bardziej niecierpliwi, a może bardziej przezorni pozaciągali pożyczki prywatne, oczywiście na ciężkich warunkach, i rozpoczęli przenoszenie budynków. Każdemu chodziło o to, by zakończyć roboty przed upływem 1929 r. Pożyczki wciąż jednakże nie można było się doczekać, aż nareszcie w październiku b. r. nadeszła odpowiedź, że podania zostały napisane nie według ustalonego wzoru i że należy wypełnić dołączone łaskawie blankiety...

Dwa lata więc upłynęły i są stracone, pozostał tylko jeden rok, a cóż będzie, jeżeli jeszcze raz zostanie zmieniony wzór podania?

Jeszcze gorzej sprawa się przedstawia z gospodarstwami sierot. Tu już zażądano wyznaczenia opieki, uchwały Rady familijnej o zaciągnięciu pożyczki, zatwierdzenia tej uchwały przez Sąd Okręgowy, słowem tylu formalności i połączonych z nimi kosztów, że biedne matki tych sierot machnęły na wszystko ręką i rachują jedynie na pomoc gminnej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, ale ta, jak wyżej wspomniałem, nie może dotąd doczekać się ustawowo należnej jej dotacji w sumie 40.000 zł.

Tak oto wygląda nasza smutna rzeczywistość, na pociechę zaś słyszymy tylko piękne obietnice i zapewnienia, że posłowie z „jedyńki” troszczą się o biedną ludność tutejszą, a rząd również łamie so-

bie głowę nad tem, jak przyjąć jej z pomocą. Słyżeliśmy ostatnio, że ministerstwo spraw wewnętrznych opracowuje pośpiesznie projekt *przymusowego zabezpieczenia od gradobicia*. Zakrawa to na kpiny, ale nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby akcja ratunkowa na tem się tylko skończyła. *Rolnik.*

Biblijografia.

Zdziechowski Marjan. *O okrucieństwie*. Kraków. 1928. (Odbitka z „Przeglądu Współczesnego” № 74, 75, 76).

Impuls do napisania powyższej rozprawy dała prof. Zdziechowskiemu niewielka rozmiarami, ale bogata treścią i wstrząsająca w szczegółach — jak to stwierdza autor — książka René Guyon'a p. t. „La cruauté”, poświęcona psychologicznej analizie okrucieństwa.

Prof. Zdziechowski poczęści streścił wywody Guyon'a, poczęści uzupełnił je własnymi spostrzeżeniami i refleksjami, nacechowanymi, jak zawsze, idealizmem czystej wody i głęboką wiarą w przedwieczne, absolutne Piękno, którego nie potrafią przesłonić niskie skłonności człowieka.

Względnie szeroko rozwodzi się autor nad historją okrucieństwa w dawnych wiekach, nad inkwizycją, procesami czarownic i torturami. Współczesne przejawy okrucieństwa u człowieka cywilizowanego, dumnego ze swego humanitaryzmu i kultury, zostały potraktowane zbyt pobieżnie i jednostronnie. Nietylko bolszewickie czczywczajki są dowodem tkwiących ciągle w głębi duszy ludzkiej dzikich i barbarzyńskich popędów. Wojna i nowożytnie wyprawy kolonialne dostarczają aż nadto ciekawego i pouczającego materiału w tej dziedzinie. Gdyby prof. Zdziechowski zapoznał się z dwiema tylko książkami, które również niedawno ukazały się w druku: „Barbarie allemande et barbarie universelle” A. Lorulot'a oraz „Satan conduit le bal” G. Anquetil'a, to nie potrzebowałby sięgać do czasów zamierzchłych dla zilustrowania, do czego jest zdolna okrutna natura ludzka!

Obok okrucieństwa fizycznego istnieje również okrucieństwo moralne. Ta dziedzina nie została całkiem prawie uwzględniona przez prof. Zdziechowskiego. A szkoda. Zyskałoby na tem pogłębienie psychologiczne zagadnienia. Człowiek, który nie jest zdolny dziś sprawić swemu bliźniemu najłżejszego bólu fizycznego, który się wzdraga na widok krwi i męczarni cielesnych, z lekkim sercem może się znęcać nad duszą dziecka, kobiety, podwładnego, obojętnie przyglądać się cierpieniom moralnym istoty bezbronnej, nie zahartowanej w twardej walce o byt. Czyż nie jest to więc tylko kwestja nerwów, a bynajmniej nie wyższego rozwoju etycznego?

Najbardziej jest interesujący rozdział, traktujący o okrucieństwie ludzkim wobec zwierząt. I bezwątpienia przyklasnąć tylko można słowom Guyon'a, które autor powtarza z głębokim przekonaniem: „Musi nastąpić deklaracja praw zwierzęcia i obowiązków człowieka względem niego — *Il faut proclamer la charte de l'animal...*” Nigdy nie jest za często wołać o to wielkim głosem.

Kościałkowski Stanisław. *Z literatury polemiczno-sądowej XVIII w.* Studium historyczno-bibliograficzne na tle sprawy Antoniego Tyzenhauza, Podskarbiego Nadwornego Litewskiego, w latach 1780—

1784. (Odbitka z „Ateneum Wileńskiego” Rocznik V 1928, Zeszyt 15). Wilno, 1928.

O wartości tego studjum poucza nas przedmowa autora, w której czytamy:

Doniosłe znaczenie piśmiennictwa danej epoki dla poznania ogólnej historii zachodzących w niej przemian politycznych, społecznych czy kulturalnych, powszechnie jest dowiedzione i uznane. Zwłaszcza pewne działy piśmiennictwa, mianowicie te, które stoją w najbliższym związku z żarzącą się aktualnością danej chwili — a więc publicystyka, literatura polityczno-społeczna, satyra, pamflet, powieści współczesne, dostarczają obfitego materiału historykowi i, dając wierne odbicie rzeczywistości, są częstokroć wybornym komentarzem i objaśnieniem faktów dziejowych. Prowadzenie badań, pozostających w związku z temi działami piśmiennictwa o tyle jest ułatwione, że utwory literackie, wchodzące w ich zakres, częstokroć w większej ukazywały się ilości wydań i skrzętnie notowane były nie tylko przez biblijografię, ale — ze względu na swoją treść ogólniejszą — i przez historję literatury. Inaczej rzecz się ma z działem piśmiennictwa, nader obszernym zwłaszcza w drugiej połowie w. XVIII i pierwszej połowie XIX w., a dla badań historycznych tych czasów wielką posiadającym doniosłość: z literaturą polemichnosądową.

Z działem tym piśmiennictwa i czas i ludzie obeszlę się cokolwiek po macoszemu, a pierwszorzędna nieraz dla badań naukowych jego rola zapoznana jest zarówno przez historyków, jak biblijografów. Dotyczy to między innymi literatury polemichnosądowej, jaka się rozwinęła w wielkiej nader ilości w związku z upadkiem Antoniego Tyzenhauza, podskarbiego nadwornego za Stanisława Augusta.

Szczegółowem zbadaniem tej literatury, wcale obfitej, bo liczącej aż 76 numerów biblijograficznych, zajął się prof. St. Kościałkowski, wybitny znawca dziejów tragicznych podskarbiego Tyzenhauza i jego rozlicznych poczynañ w dziedzinie ekonomiczno-finansowej. Od wielu lat już pracuje prof. Kościałkowski nad monografią Antoniego Tyzenhauza, zebrał i przetrawił olbrzymi materiał, a wciąż zwleka z ostatecznem jej wykończeniem i ogłoszeniem drukiem. Tymczasem poprzestaje na publikowaniu cennych fragmentów i przyczynków, do których należy właśnie rzeczona praca.

„Sprawy Narodowościowe” (Rok II. Nr. 3—4 za czerwiec, lipiec i sierpień 1928 r.).

Ukazał się nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych Nr. 3—4 „Spraw Narodowościowych”, czasopisma poświęconego badaniom spraw narodowościowych. Na bogatą treść tego numeru (str. 150) składają się następujące artykuły: p. S. J. Paprockiego p. t. „IV Kongres Mniejszości Narodowych w Genewie”, który podaje dokładny przebieg, charakterystykę i uchwały IV Kongresu Mniejszościowego, który, jak wiadomo, odbył się w końcu sierpnia r. b.; p. Dr. Wocława Junoszy p. t. „Szkolnictwo polskie w Niemczech”, zawierający szczegółowe dane (pierwszy raz!) o stanie szkolnictwa polskiego w Niemczech; dr. A. Krysińskiego p. t. „Liczba i rozmieszczenie Białorusinów w Polsce”, w którym autor analizuje ilość Białorusinów zamieszkałych na terenie państwa polskiego; p. t. „Polacy na Ukrainie Sowieckiej” i zakończenie pracy p. St. Czosnowskiego p. t. „Sprawy miejszościowe w Unji Stow. Ligi Narodów”.

Pozatem numer zawiera, jak zwykle, obszerną, aktualną i interesującą kronikę ze spraw, dotyczących mniejszości narodowych w Polsce, zagadnień narodowościowych poza Polskę i kwestyj mniejszościowych na terenie międzynarodowym, oraz recenzję i biblijografię. Cena pojedynczego egz. Nr. 3—4 „Spraw Narodowościowych” wynosi 5 złotych; do nabycia znajduje się we wszystkich księgarniach i administracji „Spraw Narodowościowych”, Warszawa, ul. Jasna 19, (II piętro).